

A zimą słońce w Maroko...

*Agnieszka Buczkowska-Fertała
Marek Fertała*

15.01.2011r., godz. 8:30
W powietrzu nad Marokiem...

Plecak w plecaku. I kije, i raki, i część namiotu. Śpiwory lecą z nami w bagażu podręcznym. Tak się podróżuje tanimi liniami lotniczymi Ryanair, aby nie płacić za drugi bagaż i maksymalnie zredukować koszt podróży.

Na lotnisku w Mediolanie poznajemy Anię i Jarka, którzy wybierają się do Todry na wspinaczkę. Naszym celem jest Jebel Toubkal - najwyższy szczyt Afryki Północnej. Razem spędzamy noc, koczując na włoskim lotnisku, będąc przeganianym z kąta w kąt przez tamtejszych sprzątających i porządkowych.

Wypełniamy teraz wniosek wjazdowy do Maroko i za około pół godziny wylądujemy w Marakeszu, gdzie w centrum mamy się spotkać z Saidem Kamalem - Marokańczykiem, który będzie nas gościł u siebie.

Wyprawa jest dość spontaniczna. Trzy tygodnie temu kupiliśmy bilety i teraz je realizujemy. Krótki urlop, dziewięć dni, połączony z zimowym wejściem na czterotygodniowy Toubkal i plażowaniem w słynnym Agadirze.

No to zobaczymy, co do zaoferowania ma nam Maroko...

16.01.2011r., godz. 10:00
Marakesz, postój taksówek

Po wylądowaniu w Marakeszu przywitała nas cudna pogoda i zielone palmy. Na słonecznym chodniku przed lotniskiem przepakowaliśmy plecaki i razem z zapoznanymi Polakami złapaliśmy autobus do centrum. Na placu *Jeema el Fna* zadzwoniliśmy do Saida, a Ania i Jarek ruszyli w poszukiwaniu hotelu.

Said zjawił się po trzydziestu minutach w czarnym płaszczu, jeansach i niebieskim szaliku, wziął po dzentelmeńsku mój plecak i zaprowadził do swego domu. Po prawie godzinnej wędrówce wąskimi ulicami pełnymi motocyklowych spalin doszliśmy na miejsce. Nasz gospodarz sporządził pyszną herbatę z miętą i dużą ilością cukru w stylu ićcie marokańskim. Następnie ruszyliśmy zwiedzać miasto.

Zamiast znanych wszystkim turystom miejsc nasz przyjaciel pokazał nam Marakesz "od podwórka". Z krętych uliczek wchodziliśmy do coraz to mniejszych pomieszczeń, gdzie ludzie to wyrabiali torby, to wycinali w metalu piękne lampiony, to zajmowali się stolarstwem i zdobnictwem swych drewnianych wyrobów. Said pracował w tej ostatniej branży dziesięć lat. W jego warsztacie zobaczyliśmy Marakesz "z dachu"



Marakesz "od podwórka"



...i z dachu

(teraz już wiemy, gdzie lądują wszystkie śmieci) i napiliśmy się po raz kolejny herbaty. Gospodarz pokazał nam też targ tylko dla miejscowych, gdzie nie zapuszczają się żadni turyści.

Wciąż jednak nie kupiliśmy tak potrzebnego nam kartusza gazu, a po przejściu praktycznie całego miasta zdecydowaliśmy się złapać taxi do marketu (taksówki są tu bardzo tanie - po mieście ok. 8zł). Zrobiliśmy zakupy, ale gazu wciąż nie było (wszędzie dostępny jest tylko tak zwany *camping gas*, który przystosowany jest do innego typu palnika niż nasz).

W centrum Said zaprowadził nas do knajpki, gdzie u jego znajomego zjedliśmy tarzina. Niepostrzeżenie zrobił się wieczór, zostawiliśmy zakupy w domu i udaliśmy się zwiedzać miasto nocą. Było około osiemnastej i zaczynało zmierzchać.



Stolarstwo i zdobnictwo drewnianych wyrobów

W Marakeszu poznaliśmy dwóch kolegów Saída, których spotykaliśmy w różnych zakamarkach miasta. Wieczorem jeden z nich sporządził pyszną herbatę na piętrze w sklepie, w którym sprzedawał różności. Po gorącym napoju udaliśmy się na słynny plac *Jeema el Fna*. W nocy miejsce to zaczyna tętnić życiem - ludzie grają na bębnach, śpiewają, tańczą. Wokół stoją kramiki, gdzie zakupić można różnej maści rzeczy.



W sklepie



Marakesz nocą

Około dziewiątej wróciliśmy do domu, bardzo zmęczeni po całonocnym niespaniu na lotnisku, ułożyliśmy śpiwory, a Said poszedł do kawiarenki internetowej porozmawiać z dziewczyną z Włoch.

Niestety ta noc nie należała dla mnie do udanych. Zaraz przed zaśnięciem Marek zauważył na mojej poduszce karalucha. I tak to spędziłam całą noc zapięta po uszy w śpiworze, przegrzewając się bardzo. W środku nocy wpadł do pokoju miauczący kot i tak nas wystraszył, że spadłam z materaca!

Rano o ósmej wstaliśmy, spakowaliśmy się i zjedliśmy śniadanie. Saida trzeba było mocno budzić, twardo spał. W końcu wygrzebał się z łóżka i zaprowadził nas na taksówkę, która zawiozła nas na miejsce, skąd odjeżdżają większe taksówki do Imlil - wioski, gdzie miała zacząć się nasza górską przygoda.

Siedzimy i czekamy. Na razie jest nas dwoje. Taksówkarze widzą w nas swoje ofiary. Proponują podróż za 150 DH za osobę (10 DH=1euro). Oczywiście nie zgadzamy się na to, mimo że zapewniają nas, iż nie będzie już więcej chętnych do Imlil. Po dwudziestu minutach dochodzi para Duńczyków. Cena spada do 200 DH za naszą czwórkę. My jednak wciąż czekamy i po chwili jeden z kierowcą wychodzi z propozycją 150 DH. W mercedesie siedzi już dwóch miejscowych chłopaków do Imlil. Ostatecznie zgadzamy się na to, wsiadamy do auta i ruszamy...

O tym, jak oni mieszkają

Marokańscy śpią w małych, ciemnych pokojach bez okien. Ich domy są parterowe. Centralnym punktem jest kwadratowy plac bez dachu, który tutejsze kobiety mają dziwny zwyczaj bez przerwy zamiatać. Kuchnia jest mała, ślepa. Naczynia stoją na podłodze. Toaleta jest lub nie. Jeśli jest, to ma kształt dziury wydrążonej w podłodze. Obok stoi wiaderko i kran zamiast spłuczki. Jeśli nie ma w domu ubikacji, należy



W domu u Saïda: toaleta i sypialnia

wyjść przed dom i tam załatwić swoje potrzeby. W nocy Marokanki palą ognisko na kwadratowym placu, dodając zielone gałązki o specyficznym zapachu.

**16.01.2011r., wieczór
nad wioską Szamharusz, 2400m n.p.m.**

Około południa dotarliśmy do Imlil. Po wyjściu z samochodu i pożegnaniu z Duńczykami od razu odezwały się głosy: *crampons, room*. Nie, dziękujemy! Wszystko mamy. Po zakupie butelki wody, dwóch marchwi, dwóch pomidorów i banana ruszamy w góry. Początkowo jest dość stromo. Droga kamienisto-piaszczysta. Gorąco. Sucho i pył. Maszerujemy w krótkich rękawkach. Od czasu do czasu padają propozycje wynajmu osiołka i noclegu. Około trzynastej postanawiamy przyrzędzić obiad w wiosce Aremd - rybkę z puszki.

Ruszamy dalej. Po drodze mijamy kramiki, z których wydobywają się głosy: *orange, water*. Nie spieszymy się specjalnie. W okolicy wioski Szamharusz szukamy



Siedzimy i czekamy.



Droga kamienisto-piaszczysta.



Gorąco. Sucho i pył.

miejsca na namiot. Niestety nigdzie nie ma wody. Z gór schodzi europejsko wyglądająca para. Nawiązujemy rozmowę po angielsku. Jak było na Toubkalu, co i jak. Po kilku minutach Marek pyta, skąd przyjechali. *From Poland...* My też! Wybuch śmiechu. Dalsza rozmowa toczy się już po polsku.

Po rozstaniu się z rodakami w wiosce sklepikarz Omar zagaduje: "Polonia!". "Wstąpimy do twego sklepu po zejściu z gór" - odpowiadamy. Dwieście metrów nad Szamharusz rozbijamy namiot. Na skale. Jest 18:30. Ciemno. Po zachodzie słońca robi się bardzo zimno. Mały posiłek i wskakujemy do śpiworków. Rano czeka nas droga do schroniska.

17.01.2011r., 08:30

nocleg na skale nad wioską Szamharusz, 2400m n.p.m

O ósmej zadzwonił budzik. Nie chce się wychodzić ze śpiworka, gdy na zewnątrz dwa stopnie Celsjusza. Trzeba jednak wstawać i ruszać dalej... W nocy było bardzo zimno. Nie pomogło nawet założenie czapki. Nie mogę się już doczekać ciepłego słońca.

14:00

O dziesiątej opuściliśmy obóz. Droga nie najgorsza, przeplatana płatami śniegu, pod górę, ale niestroma, wzdłuż doliny rzeki. O trzynastej doszliśmy do schroniska. Wokół śnieg i dość zimno. Postanawiamy jednak spać w namiocie. Opiekun marokańskiego schroniska użycza nam kuchni, toalety i wskazuje miejsce, gdzie można rozbić namiot. Oczywiście bezpłatnie. Pół godziny później na Toubkal rusza trzech Belgów - jeden z nich mieszka w Krakowie i dobrze mówi po polsku. Zobaczymy, jak sobie poradzą. Jest trochę późno, ale opiekun schroniska mówi, że wystarczy pięć godzin.

16:00

Temperatura zaczyna gwałtownie spadać. Na zewnątrz jest tylko półtora stopnia Celsjusza. Słońce schowało się za góry.

19:00

Godzinę temu udaliśmy się do schroniska, usiedliśmy przy kominku. Niedawno wrócili



*Dwieście metrów nad Szamharusz
rozbijamy namiot.*



Doszliśmy do schroniska.

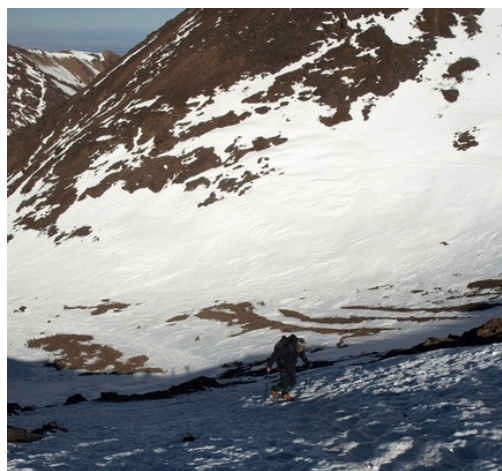
Belgowie. Niestety nie udało się im. My właśnie zbieramy się do namiotu. Jutro ciężki dzień...

**18.01.2011r.,
schronisko pod Toubkalem**

Budzik zadzwonił o szóstej. W namiocie woda całkiem zamarzła. Śpiworki złączone pomogły przetrwać zimną noc. Minus pięć stopni w środku, na zewnątrz dziewięciostopniowy mróz. Niestety schronisko zamknięte. Wracamy więc do namiotu. Czekaemy, aż zrobi się jasno i otworzą drzwi. Około ósmej Marokańczyk wypuszcza psa. Korzystamy z okazji, wchodzimy do środka, myjemy się i jemy śniadanie. W górę ruszamy za kwadrans dziewiąta.



Nad schroniskiem droga na Jebel Toubkal.



W górę ruszamy.



Jebel Toubkal.



Dotarliśmy na szczyt.

16:00

O 12:55 dotarliśmy na szczyt. Raki na nogach okazały się niezbędne - droga była stroma, śnieg mocno zmrożony. Po godzinie marszu nie byliśmy wcale rozgrzani - trzeba było wręcz zakładać kurtki i rękawice. Marek stracił jedną - poleciała w dół jakieś 50 metrów i nie było sensu po nią wracać. Dopadła nas choroba wysokościowa - ból głowy, mdłości, brak oddechu. Ale szliśmy wytrwale dalej. Po dojściu na przełęcz 3950 m n.p.m. ściągnęliśmy raki. Teraz czekało nas ostre podejście po piaszczysto-kamienistym zboczu aż na szczyt. Nie było łatwo. Ostatnie metry i dochodzimy. Marek czuje się bardzo źle. Staram się wspierać go jak mogę. Czas wejścia z dwiema małymi przerwami - 4 godziny i 10 minut. Na szczycie kilka pamiątkowych zdjęć, filmik i schodzimy. W tym czasie na Toubkal wybierały się trzy grupy: dwie dziewczyny z przewodnikiem, trzech narciarzy i my. Dwie pierwsze grupy wyszły wcześniej, toteż gdy dotarliśmy do siodła 3950m n.p.m., one już schodziły, a my zostaliśmy zupełnie sami...

Zejście do schroniska zajęło dwie i pół godziny. Złe samopoczucie i zawroty głowy towarzyszyły nam do końca. Ale było warto... na takiej wysokości postawić nogę.

Przed siedemnastą spakowani ruszyliśmy w dół, wypijając na koniec herbatkę marokańską i półlitrową coca-colę.

19.01.2011r., 09:00, nocleg 2800m n.p.m.

Wczoraj o osiemnastej dotarliśmy na miejsce, gdzie rozbiliśmy namiot. Było już ciemno, ale księżyc w pełni oświetlał obozowisko. Zmęczeni szybko zasnęliśmy. Dziś rano ruszamy dalej. W dół. W stronę Imlil.

18:00, Asni, w domu u Mustafy

Dotarliśmy do Asni. Tak jak obiecaliśmy, w Szamharusz u Omara zakupiliśmy dwie szkatułki i biżuterię berberyjską. W prezencie dostałam jeszcze czarne korale. Wypiliśmy herbatę i ruszyliśmy dalej.



Aremd



Imlil

W Imlil próbowaliśmy złapać stopa, ale tubylcy widzieli w nas tylko bogatych turystów i zatrzymywali się jako taxi...

Po nieudanej próbie zgodzili się na cenę 40 DH za dwie osoby do Asni. Zaraz po wyjściu z taxi przybłąkał się dwudziestoletni Berber - Mustafa. Poinformował nas, że nikt nam się tutaj nie zatrzyma. Korzystając z jego zaproszenia, wypiliśmy herbatę, zjedliśmy tarzina i zamieniliśmy polskie dwadzieścia złotych na piękny ametyst. Dostałam również piękne niebieskie korale. W zamian ofiarowałam koszulkę "Skuteczny". Mustafa zabrał nas na rynek, na którym wieczorem spotykają się mężczy mieszkańcy miasteczka. Kupił popcorn i poszwędaliśmy się trochę. Siedzimy teraz przy ognisku w środku domu. Grzejemy się, gdyż jest dość chłodno. O 22:00 mamy autobus do Berhil...

Handel (wymienny)

Arabowie i Berberowie - handlarze dzielą się na dwie grupy. Pierwsza grupa to ci, którzy za swój towar chcą zapłaty pieniędzmi. Tacy sprzedają w dużych miastach. Druga grupa - głównie przesiadująca w górach i na wioskach - dopuszcza handel wymienny - rzecz za rzecz. W cenie są polary, plecaki, namioty, kije trekkingowe. I tak też Mareczek w wiosce Aremd zamiana swój stary, czarny polar - reklamę leku "Xorimax" - na dżelabę. Berber ma chrapkę na mój polar, bo jest jego rozmiarów. Chce dorzucić mi do dżelaby chustę i biżuterię. Ja jednak za bardzo lubię swoje wdzianko. Dżelabę



Korzystając z zaproszenia Mustafy



Zatrzymało się zielone Renault 4.

kupuję w Imlil.

**20.01.2011r., 09:30,
przy drodze Berhil-Agadir**

Noc z dziewiętnastego na dwudziestego stycznia należała do ciężkich. Autobus przyjechał o 23:00. Miał nieplanowany postój w Marakeszu na posiłek. Zmarzliśmy bardzo, czekając na niego półtorej godziny. Gdy w końcu przyjechał, Mustafa wytargował dla nas cenę 100 DH za dwie osoby i dodatkowo 20 DH za dwa bagaże. Wewnątrz pojazdu wcale nie było ciepłej. Dostaliśmy miejscówkę obok nieszczelnych drzwi. O czwartej nad ranem dotarliśmy do Berhil, pokonując po drodze bardzo niebezpieczne odcinki trasy w górach.

Aby rozbić namiot, trzeba było iść cztery kilometry za miasto. Tu znaleźliśmy trochę ziemi "niczyjej".

O ósmej obudził nas hałas przejeżdżających aut. Postanowiliśmy więc wstać. Bez śniadania spakowaliśmy się i próbujemy właśnie autostopowego szczęścia na drodze...

godz. 20:00, Oued-Aissa

Po dziesięciu minutach stania zatrzymało się zielone Renault 4. Gość nie chce od nas pieniędzy! Wsiadamy. Mężczyzna jest weterynarzem. Spędził sześć lat na studiach w Petersburgu. Szybko przechodzimy na język rosyjski. Hicham zaprasza nas do siebie na śniadanie, kupując po drodze mięso i jabłka.

Jego dacza okazuje się niesamowita. Pośrodku rosną drzewa pomarańczowe. Hicham pochodzi z Casablanki, a dom należy do jego ojca. Pod jego nieobecność o posiadłość troszczy się wynajęta pani z mężem i trójką dzieci.

Na śniadanie jemy chleb z masłem, miodem i oliwą, popijając herbatę z miętą. Po posiłku zabieramy pomarańcze i jedziemy z Hichamem do chorej krowy. Potem obiadek: tarzin, pomarańcze i jabłka. Gospodyni przygotowuje nam banie. Jak przyjemnie jest tam po tygodniu niekorzystania z prysznicą. Teraz czas na kawę z ciastkami i orzeszkami. Po deserze Hicham zabiera nas do swojego gabinetu w Berhil. Po drodze odwiedzamy skup mleka. W miasteczku wypijamy jeszcze jedną kawę w małej restauracyjce przy głównej ulicy, tym razem mniej słodką i z pianką. O wpół do siódmej

wracamy do domu. Jest piękny zachód Słońca. Powoli szykujemy się do snu. Co za dzień!



Wśród drzew pomarańczy w domu Hichama.



Hicham. Osiołek Hichamowy. Ja.

**21.01.2011r., 18:00,
Aourir, nad Oceanem Atlantyckim**

Budzi nas śpiew ptaków z drzew pomarańczy. Po śniadaniu u Hichama (mleko, miód, chlebek, masło) ruszamy do Agadiru. Hicham podrzuca nas do drogi, żegnamy się miło. Czekamy na autobus do Tarroudant. Po chwili nadjeżdża pojazd w opłakanym stanie. Za pięć dirhamów jedziemy do celu. W Tarroudant przesiadamy się do autobusu w stronę Agadiru, do Inezgane. Tam wita nas upał, słońce i natarczywi Arabowie. Poznany krzykacz - Berber Mohamed pomaga nam znaleźć taksówkę za 15 DH do Agadiru i 20 DH do Aourir. W międzyczasie wyciągamy z bankomatu jeszcze 200 DH. Rozstajemy się z Mahomedem w południe tu, nad Oceanem Atlantyckim. Niedaleko rozbijamy namiot i idziemy nad skarpe. Jest upalny dzień. Leniwie nic nie robimy...



Część plaży w Aourir.



Marek i wieczorny Atlantyk.

Dziś są moje imieniny. Przemierzamy miasteczko w poszukiwaniu wina. W końcu kupujemy kiść bananów, sok pomarańczowy, czekoladę i dwa chlebki. Idziemy nad



Jest piękny zachód Słońca.



Po zmierzchu zasiadamy nad skarpą.

ocean, moczymy nogi w osiemnastostopniowej słonej wodzie, zbieramy garść muszli. Jest piękny zachód Słońca. Po zmierzchu zasiadamy nad skarpą do uczyty, dziesięć metrów nad brzegiem oceanu. Wokół latają nietoperze. Jest bardzo romantyczny wieczór...

**22.01.2011r., 17:00,
przed lotniskiem, Agadir**

Dziś opuszczamy Maroko. Rano idziemy na plażę pożegnać się z Atlantykiem. Wybieramy się na długi spacer wzdłuż plaży, zbierając kamienie i muszle. Jeszcze małe zakupy i około czternastej ruszamy spakowani na autobus. Na dworcu w Inezgane znów dopadają nas krzykliwi taksówkarze, ale my nie dajemy się nabrać na ich ceny (150 DH) i znajdujemy autobus za 4 DH. Ech... Po zajęciu miejsc czekamy. Pojazd ma chwilowy postój. Po minucie wchodzi sprzedawca popcornu, potem chłopiec handlujący gumami do żucia i chusteczkami higienicznymi. Następnym jest niewidomy, który z wyciągniętą niebieską miską czeka na datki. Na koniec wchodzi mężczyzna cytujący Koran z pamięci i udzielający błogosławieństwa. Ten zbiera trochę grosza. Po tym całym korowodzie przychodzi kierowca i wreszcie ruszamy!

Przed lotniskiem siadamy na trawie, gotujemy barszcz z torebki z kaszą kuskus, przepakowujemy dwa plecaki w jeden, zjadamy pomarańcze, które dostaliśmy od Hichama i udajemy się w kierunku odprawy...



Pożegnanie z Atlantykiem.



Ruszamy spakowani na autobus.